

Dorota Combrzyńska-Nogała

# Wysiedleni





Dorota Combrzyńska-Nogala

# Wysiedleni



Dorota Combrzyńska-Nogala  
**Wysiedleni**

© by Dorota Combrzyńska-Nogala  
© by Wydawnictwo Literatura



Okladka i ilustracje:  
Magdalena Koziel-Nowak

Korekta i skład:  
Lidia Kowalczyk, Joanna Pijewska

Wydanie I

**ISBN 978-83-7672-636-6**

Wydawnictwo Literatura, Łódź 2018  
91-334 Łódź, ul. Srebrna 41  
handlowy@wydawnictwoliteratura.pl  
tel. (42) 630 23 81  
[www.wydawnictwoliteratura.pl](http://www.wydawnictwoliteratura.pl)



## Polska – Gródek Jagielloński 1936–1939

Nazywam się Kazia Łobodziec. Urodziłam się na przedmieściu Gródka Jagiellońskiego w województwie lwowskim. Moja mama zajmuje się rolą i domem, a tata jest kolejarzem. Obok nas mieszkają nie tylko Polacy, ale również Ukraińcy, Żydzi, a niedaleko Niemcy. Wspólnie obchodzimy święta z prawosławnymi i grekokatolikami. Mamy szczęście, świętując podwójnie, ponieważ święta z powodu odmiennego kalendarza wypadają w różnym czasie.

W naszej okolicy jest jeszcze dużo drewnianych, kurnych chat z glinianym klepiskiem zamiast podłogi. Kurnych, czyli bez komina. Dym snuje się po całym domu, ściany robią się czarne i dwa razy do roku trzeba je bielić. Taka chata, z wielkim piecem na środku, jest ciasna i często mieszkają w niej nawet trzy pokolenia: dziadkowie, rodzice i dzieci. Ściany udekorowane są gęsto świętymi obrazami. My mamy lepszy dom, murowany z czerwonej cegły, z dwiema izbami, kuchnią i strychem. To znak, że dobry gospodarz tu mieszka.

Rodzice bardzo się cieszyli, kiedy dom stanął. Mama powiesiła stary obraz Matki Boskiej Karmiącej, ozdobiony haftowaną kolorowymi kwiatami firaneczką i sześcioma świeczkami.

– Teraz będzie nas strzegła – powiedziała zadowolona, a na jasne ściany wróciły również inne, przywiezione z licznych wycieczek obrazy.

Pamiętam, jak wtedy przybiegła moja najbliższa przyjaciółka i sąsiadka Różia Czekajło, żeby zobaczyć, jak się urządziliśmy. Stała na progu, patrząc z podziwem na malowane błyszczącą brązową farbą drewniane podłogi.

– Jak ładnie! Nie będziecie musieli szorować desek!  
– klasnęła w dłonie z zachwytem.

Usiadłyśmy w kuchni na bambetlu, takiej drewnianej skrzyni do siedzenia i spania. Wyglądałyśmy przez nowe duże okno na świat, który też zrobił się przez to jakby większy, i nawet babcine doniczki z mirtem nie zasłaniały go za bardzo. W starej chacie okienka były małe i wtedy miałam wrażenie, jakbym podglądała świat przez dziurkę od klucza. Wspominałyśmy niedawne wesele ciotki i czekałyśmy, aż upiecze się chleb.

– Miała pięknie, kolorowo haftowany strój weselny! Też chciałabym kiedyś taki mieć – westchnęła Różia.  
– Ale już niedługo Boże Narodzenie – wyliczała na paluszkach – a za dwa tygodnie Boże Narodzenie w cerkwi.

– A przed Bożym Narodzeniem Żydzi mają swoją Chanukę – przypomniałam jej.



świat zrobił się przez to jakby większy

– Nowy Rok i mnóstwo zabawy w karnawale. A wiosną Wielkanoc. Najpierw nasza, a potem ukraińska – Różia odchyłała kolejne palce.

– A w wiosenne święto Purim Żydzi będą częstować uszami Hamana – przełknęłam ślinę, bo bardzo lubię słodkie naleśniki z marmoladą, czyli hamany.

Ani się obejrzałyśmy, spadł śnieg. Mieszkańcy Gródka Jagiellońskiego zamienili wozy na sanie. Na Boże Narodzenie tata postawił w rogu pokoju dziada – owsiany snopek obwieszony papierowymi ozdobami. Pierwszą w życiu choinkę ubrałam dopiero w następnym roku.

Przychodzili do nas Ukraińcy, pukali do drzwi, przepięknie śpiewali kolędy i składali życzenia po polsku:

– Ponad *gabo* na szczęście, na zdrowie, na ten święty wieczór.

– *Ponad haibik na szczastie, na zdorowie, na ten swiatoj weczter* – odpowiadali po ukraińsku rodzice.

Mama częstowała naszych ukraińskich gości parnioszkami – pysznymi pierogami z ziemniakami, cebulą, kaszą gryczaną i kapustą kwaszoną lub na słodko z suszonymi gruszkami, jabłkami, bułką tartą i odrobiną cukru.

Uwielbiam kolędować. Pewnego roku był wyjątkowy mróz, ale ja i Różia postanowiłyśmy wziąć worki i pobiec z kołędnikami. Pukaliśmy do drzwi ukraińskich domów, śpiewaliśmy i składaliśmy życzenia. Częstowano nas serdecznie przygotowanymi potrawami. Szliśmy



coraz dalej i dalej. Temperatura spadła i zrobiło się jeszcze zimniej.

– Mam dosyć! – powiedziała Różia. – Chodź, wracamy do domu.

– Jeszcze trochę – prosiłam. – Dopiero się ściemnia.

– Palce u nóg mi zdrętwiały. Nie zamierzam ich sobie odmrozić.

– Zmarzlak! – krzyknęłam za nią i poszłam dalej.

Worek ze smakołykami ciążył mi coraz bardziej, ale ciągnęło mnie, żeby dalej wędrować i zdzierać gardło, śpiewając i życząc. W końcu jednak najwytrwalsi kołędnicy postanowili wracać, więc i ja, sztywna z zimna i objedzona do nieprzyzwoitości, poszłam do domu.

– Gdzieś ty była tak długo? – załamała ręce mama i rzuciły się z babcią, żeby mnie, zmarzniętą na kość, rozebrać i ogrzać.

Ciotka Frania, młodsza siostra taty, skoczyła na dwór po śnieg, którym zaczęła nacierać moje sine ręce. Przeszła dopiero, kiedy zaczęło boleć i czucie w dłoniach wróciło. Uratowała mi dłonie.

– Przyniosłam cały worek! – wyszeptalam zadowolona z siebie.

– Cały worek grochu z kapustą. Warto było o mało rąk nie odmrozić? – mama zajrzała do worka rozbawiona, ponieważ wszystkie podarunki pokruszyły się i wymieszały ze sobą. Ale ja, śpiąca i zziębnięta, chciałam tylko spać na ciepłym piecu chlebowym i wspominać cudowne kołędowanie.

– Warto! – mruknęłam z przekonaniem pod nosem, bo przecież nie chodziło wcale o podarki, tylko wspólne śpiewanie i życzenie szczęścia. Jutro kołędnicy idą ze świąteczną wizytą do sióstr babci na prawosławne Boże Narodzenie. I znów będą pięknie śpiewać kolędy po ukraińsku i po polsku:

*U Wefłejemi (bis) weseta nowyna:  
Czystaja Diwa (bis) porodyła Syna!  
Chrystos rodywsja, Boh wopłotywsja.  
anhely j łjude (bis) weseto praznujut':  
anhely spiwajut', carowe wytajut',  
a pastyri hrajut',  
czudo, czudo powidajut'!*

*Dzisiaj w Betlejem (bis) wesota nowina,  
bo Panna Czysta (bis) porodziła syna.  
Pan Bóg się rodzi, nas oswobodzi,  
anieli grają, króle witają,  
pasterze śpiewają,  
bydłęta klękają,  
cuda, cuda ogłaszają!*



Zimą jest wspaniale. Jeździmy na sankach z górki, bo nasza ulica Czerlańska jest na wzniesieniu, i lepimy bałwany. Czas mija szybko i już są zapusty, czyli karnawał. Po

Trzech Królach zaczynają się przebieranki, zabawy, tańce i przyśpiewki o znanych osobach we wsi, które budzą serdeczny śmiech. Ale nikt się nie obraża, nawet ksiądz.

W Wielkanoc malujemy jajka. We wtorek, który jest u nas trzecim dniem świąt, po mszy procesja idzie na cmentarz. Mój tata ma przygotowane drobne pieniądze dla całego szpaleru żebraków, a mama – w chustce związanej czterema rogami – duże bułki, zwane bałabuszkami, którymi ich częstuje. Takie są nasze wschodnie zwyczaje – okazać serce biedakom.

Na świętego Józefa, to jest mniej więcej w połowie marca, zazwyczaj przylatują bociany. Wszyscy ich wypatrujemy i powtarzamy: „Gdy na Józefa bociek siedzie, zimy więcej już nie będzie”. Bardzo je kocham. Zależy mi, żeby pierwszy zobaczony wiosną bocian był w locie, bo to oznacza szczęście, podróżę i ciekawy rok.

Wszystkie dzieci u nas świetnie pływają, bo mamy dwie okalające miasto rzeki: Wereszycę i Potoczek, i dwa stawy. Latem chodzimy na kąpieliska. Nad rzekami rosną trzciny, ścinane, kiedy lód skuwa trzęsawiska. Z trzciny buduje się dachy i ociepla nią budynki.

Na trzeciego maja dzieci w szkole uczą się wierszyka i tańczą krakowiaka:

*Splatamy wianki stokrotek,  
wieńce dla pięknej wiosny od maja.  
Wije się wianek, wije się wianek,  
maj się zakochał w wiosnianej dziewczynie, lalalala!*



Zielone Świątki zaczynają się od majenia, czyli dekorowania domostw. Ze wszystkiego robimy z Rózią zawody. Kto pierwszy wyścieli odganiającym zło tatarakiem domostwo, będzie szczęśliwy przez cały rok. Pasące się na łące gęsi gęgają oburzone, kiedy spieszymy z naręczami pachnącej rośliny.

Nad rzeką kwitną o tej porze kaczeńce, lilie wodne, szeleszczą trzciny. Żaby koncertują głośno i wytrwale, kiedy płuczemy tatarak w strudze. Kiedyś udało mi się wstać o piątej rano i wyprzedzić Rózię. Byłam bardzo zadowolona, że jest jak w wierszyku:

*Na zielone, na te święta, chata pięknie  
uprzątnięta, wybielona, gałązkami umajona.  
W każdej izbie tataraki,  
w każdej wygląd dziś jednaki.  
Chodzą chłopcy i dziewczęta,  
każda dzisiaj uśmiechnięta,  
ustrojona w koraliki słucha śpiewu i muzyki.  
Tak jak to we święta bywa,  
na skrzypeczkach Stach przygrywa,  
a co mniejsze już chłopaki  
wciąż dmuchają w tataraki.*



Najcudowniejszy dla nas, dzieci, jest jednak 29 czerwca, świętych Piotra i Pawła, kiedy bawimy się w wesele



zaczynają się przygotowania

na niby. Każdego roku na długo przed terminem zaczynają się ekscytujące przygotowania. Umawiamy się, kto będzie starościna, kto starostą, družką, družbą, no i najważniejsze – panną młodą i panem młodym, a kto weselnikiem. Na taką uroczystość trzeba się odpowiednio ubrać, więc już od maja zbieramy szmaty, butelki po occie i nafcie i sprzedajemy Szmulkowi, żeby zarobić trochę pieniędzy, bo świętowanie niestety kosztuje.



Handlem w Gródku Jagiellońskim zajmują się głównie Żydzi: Berko, Mocio, co ma siostrę Kacię, i Peśka, co sprzedaje kawę, herbatę, ryż, zapalki... Handlują też naftą, cukrem, solą, zbożem, mlekiem. Nie są bogaci. Polskie i ukraińskie kobiety z miasta i okolicznych wiosek mają ciężkie życie i nie zawsze dysponują własnymi pieniędzmi. Mężowie co do grosza kontrolują wydatki żon i córek, a przecież trzeba mieć gotówkę, żeby sprawnie zarządzać domem, dlatego w tajemnicy sprzedają w żydowskich sklepikach jajka, mleko, sery, owoce, warzywa z własnych ogrodów i dzięki temu stają się chociaż trochę niezależne. Nie muszą prosić o każdy grosz na utrzymanie domu i tłumaczyć się z każdego wydatku.

Żydzi ciężko pracują, ale w szabat nie robią kompletnie nic, nawet jedzenie przyrządzają wcześniej. Szabat jest

taką żydowską niedzielą, dniem odpoczynku. Żydzi zapalają szabasowe świece, modlą się w synagodze i świętują. Szabat zaczyna się w piątek o zmroku i kończy w sobotę o zmroku. Dlatego w niedzielę można robić u nich zakupy.

Żydówki świetnie robią na drutach. Zawsze podziwiam migotanie cienkich, metalowych drutów i magicznie powstające swetry, szaliki, skarpety.

Dzieci chodzą po polach i zbierają sporzec – duże, czarne, chore kłosy żyta. Sporysz, na który chorują kłosy, jest trucizną, którą skupują apteki. Dostajemy za nie dużo pieniędzy. Wszystkie zebrane fundusze składamy na wesele na niby. Najstarsza dziewczynka z gromady jest wybierana na skarbnika, bo najlepiej wie, co kupić.

Pewnego roku ze swachą, czyli weselną starościna, piekłam kaczki z ciasta. Kaczki miały oczy z zielonego groszku. Musiałam przygotować cały worek takich kaczyczych ciastek do rozdawania napotkanym po ślubie ludziom.

Wesele odbywa się w porządnie wysprzątej i ładnie ustrojonej stodole. Na weselu częstujemy gości wodą sodową, lemoniadą, ciastkami pieczonymi po domach i kupowanymi w sklepiku u Peški. Raz Jadźka – moja starsza koleżanka, popatrzyła na przygotowane do zabawy stoły i powiedziała:

– Mało tego. Leć do Peški i kup trochę lukrowanych pierniczków i biszkopcików na kreskę! Potem się odda.

Pobiegłam co sił w nogach, dumna z powierzonego zadania. Kazałam sobie zważyć dużo, dużo ciasteczek, aż się sklepikarka zdziwiła:

– Mama kazała ci tyle ciastek kupić?

Pokiwałam głową, żeby tak bardzo nie skłamać, złapałam pakunek i popędziłam z powrotem do stodoły, gdzie podjechał już sąsiad z wozem, żeby dziecięcych weselników zabrać do kościoła we wsi Czerlany, który był zamknięty i tylko czasem w niedzielę odbywały się w nim msze. Właśnie na schodach tego kościółka odgrywaliśmy ślub na niby – wielkie przedstawienie, które dzieci całkowicie samodzielnie reżyserowały i odgrywały.

Po ślubie ładowaliśmy się na wóz i wracaliśmy do stodoły na wesele. Po drodze częstowaliśmy pracujących na polach Ukraińców kaczkami, a oni dziękowali, życzyli nam szczęścia, pozdrawiali i machali wesoło rękami. Było cudownie!

W stodole już ktoś grał na harmonii i zabawa ruszała na całego, z oczepinami i tradycyjnymi zwyczajami weselnymi. Na pannę młodą wybierano najmłodszą dziewczynkę, dlatego kiedy słyszała, że trzeba się pożegnać z mamą i tatą, to wcale nie musiała udawać płaczu, tylko naprawdę płakała rzewnymi łzami. Ja też byłam taką panną młodą, i Różia. To była naprawdę świetna zabawa, bo nikt się do nas nie wtrącał, sami musieliśmy o wszystko zadbać.



Jakieś trzy tygodnie po weselu na niby wróciłam z Rózią do domu, czując jeszcze miłe zmęczenie i chłód od długiego pływania, i zobaczyłam mamę siedzącą i gawędzącą z Pešką. Zrobiło mi się gorąco, bo przypomniałam sobie o nieuregulowanym dźugu za pierniczki i biszkopciki. A sklepikarka cierpliwie czekała. Dopiero jak mnie zobaczyła, spytała:

– Chyba, Kaziu, o czymś zapomniałaś?

Zrobiłam się czerwona ze wstydu, a mama złapała się za głowę.

– Peška, dlaczego ty mnie nic nie mówiłaś? Przecież bym oddała. Ona to pewnie nieświadomie zrobiła.

– Nic się nie stało – uspokajała kobieta. – Ona jeszcze mała.

